

Belle Époque. Łańcut i powozy.



Teresa Żurawska

Bogata, sielsko piękna Belle Époque. W stolicach Europy tętniło życie. Pospiesznie budowano miejskie pałace o wysokich i obszernych bramach wjazdowych, luksusowe hotele, solidne banki i instytucje użyteczności publicznej. Wzmagał się ruch

uliczny. Stare, wąskie, zbyt ciasne szlaki komunikacyjne przebudowywano na szerokie arterie dla licznych pojazdów konnych i coraz częstszych samochodów. Pręto dawne dzielnice Paryża, burzono niepotrzebne już wały obronne Wiednia. Wypiętrzał się elegancki Budapeszt. Wokół zabytkowego centrum czeskiej Pragi dostawiano drogie hotele na wzór paryskich pałaców. W Warszawie powstawały wielkomiejskie Aleje Jerozolimskie. Budowlany rozmach i entuzjazm tworzenia ogarnął całą Europę. Wielkie stawały się miasta, wielkie były domy, wielkie w nich mieszkania, meble, przedmioty codziennego użytku, wielkie też myśli towarzyszyły ludziom nawet w godzinach rekreacji.

Życie w metropoliach miało szczególny smak, smak nowości, nęcących reklam, różnorodnych towarów pachnących egzotyką krajów kolonialnych. Urok wieczornych spotkań w operze, rautów i karnawałowych bali nieodmiennie towarzyszył porze jesienno-zimowej. Latem miasta stawały się męczące, duszne, mniej ludne. Życie towarzyskie europejskiego *high life'u* przenosiło się na wieś, do dworów i pałaców – rezydencji wiejskich, gdzie w rozległych plenerach angielskich parków spędzano czas na spacerach w powozach eleganckich, miękko resorowanych, wygodnych. Zdawały się być one dostosowane do wytwornych, długich sukien z tiurniurą, ściśniętych w pasie, opiętych w gorsie, eksponujących kobiecą sylwetkę. Gigantyczne kapelusze z pękami kwiatów romantycznie ocieniały delikatne,

blade twarzyczki o naiwno-dziecięcych oczach. Czar kobiety, czar powozu, czar wiejskiej sielanki. Taką atmosferą tchnęło życie codzienne w rezydencji łańcuckiej, jednej z największych i najszynniejszych w Europie pod koniec XIX i w pierwszej ćwierci XX wieku.



Dzisiejszy Łańcut – niewielkie miasteczko (około 15 tys. mieszkańców) położone w południowej Polsce, przy ważnym szlaku turystycznym i międzynarodowej trasie E4, odległy jest od Warszawy o 340 km na południe, od Krakowa – 175 km na wschód.

Wzniesiono tu w XVII wieku fortyfikowany zamek, z czasem powiększony, rozbudowany i przekształcony na pełną rozmachu siedzibę otoczoną parkiem. Była ona własnością dwóch słynnych rodów arystokratycznych w Polsce: książąt Lubomirskich (1623-1817) i hrabiów Potockich (1817-1944). Po działaniach drugiej wojny światowej, w 1944 roku, rezydencja stała się pierwszym muzeum w Polsce. Nosi obecnie oficjalną nazwę: Muzeum-Zamek w Łańcucie. Do Muzeum należy ogromny zamek-pałac z jego wnętrzami urządzonymi w stylu baroku, rokoko, klasycyzmu i powtórzonych w Belle Époque stylach historycznych oraz dawne stajnie budowany cugowe i powozownia z jej bezcennymi zbiorami.

Zamek otoczony jest znakomicie zachowanymi fortyfikacjami bastionowymi, w obrębie których znajduje się klasycystyczny budynek oranżerii, pawilon biblioteki zamkowej w stylu wiktoriańskim i część pomocniczo-gospodarcza pałacu. Całość tę otacza piękny, trzydziesto-hektarowy park z licznymi okazami rzadkich drzew i krzewów, ze słynną, już nie istniejącą, storczykarnią, kortami tenisowymi, ujeżdżalnią zimową, zameczkiem w stylu romantycznym i domem ogrodnika. Obecnie mieści się w nim szkoła muzyczna.

Nieopodal zamku, po drugiej stronie parku od południa, zbudowano w końcu XIX wieku dwa imponujące wielkością i szatą architektoniczną budynki przeznaczone dla koni i kolekcji

pojazdów. Francuski architekt, Armand Bauquè, zaproszony do Łańcuta przez Romana Potockiego, ojca ostatniego ordynata, nadał budynkom charakter monumentalny w stylu francuskiego klasycyzmu, z piętnem baroku i secesji. Budynek stajni wyjazdowych mógł pomieścić 49 koni pod wierzch i do zaprzęgów, używanych codziennie. W powozowni, podzielonej na dwie części: czarną i żółtą, przechowywano ponad 50 pojazdów sprawnych do użycia natychmiast i na każdą okazję.



Komplet podróżny, kareta dormeza i furgon bagażowy, Wiedeń, poł. XIX wieku, fot. Jerzy Jawczak.

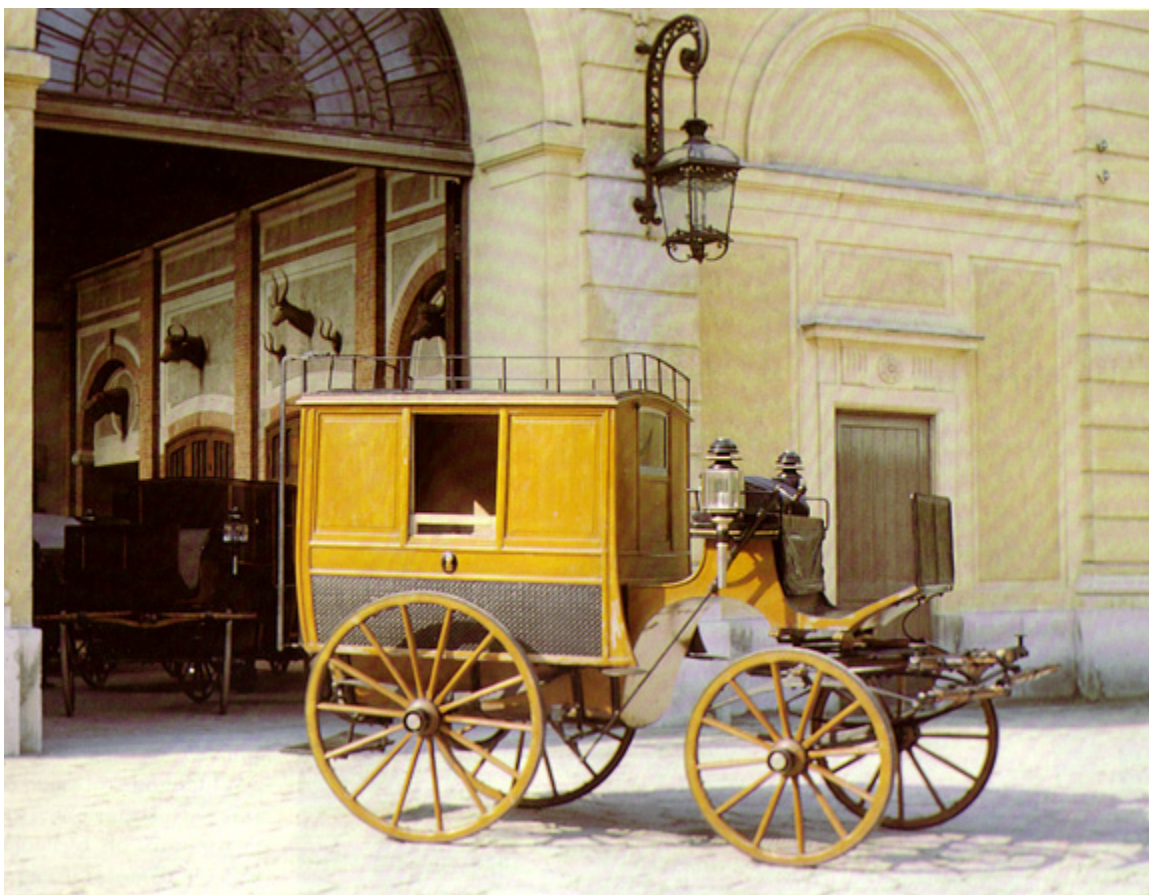
Powozownia zamkowa wraz z jej kolekcją pojazdów, pełnym wyposażeniem w urządzenia i akcesoria do zaprzęgów, stanowi dziś jedno z nielicznych tego rodzaju muzeów na świecie. Wszystko tu jest autentyczne i sprawne tak, jak było w Belle

Époque. Jest unikatem w Europie.

Już wchodząc do hali zaprzęgowej zauważa się podłogę z drewnianej kostki oraz z kamienia w tej części, gdzie umieszczono krany i baseny do mycia pojazdów. Ściany hali, udekorowane egzotycznymi trofeami z afrykańskich, kosztownych safari Alfreda Potockiego, stwarzają specyficzny klimat polowań charakterystycznych dla stylu życia w rezydencji łańcuckiej.

Przy wejściu do powozowni „czarnej” nastrój zmienia się na zobowiązująco-wytworny, wieczorowo-wyjazdowy z powodu znajdujących się tutaj reprezentacyjnych karet i najelegantszych powozów. Patrząc na wielką berlinę ozdobioną podwójnymi herbami Sanguszków i Potockich możemy wyobrazić sobie ceremonię zaślubin znanej pary właścicieli Łańcuta. Wszak Maria z Sanguszków słynęła ze swej urody i znakomitych kreacji, a także ze swych salonów w Wiedniu i Lwowie. Mąż jej, Alfred Józef Potocki, sterował polityką przez wiele lat będąc ministrem spraw zagranicznych, później premierem Austrii i namiestnikiem Galicji. Do tej pary małżeńskiej należała również druga berlina paradna, zawieszona na ośmiu resorach, z kryształowymi latarniami w srebrnych oprawach. Używali jej w Wiedniu, u dworu cesarskiego. Unikatowy komplet podróżny, składający się z karety sypialnej „*dormeuse*”, zwanej w Polsce „*leżajką*” oraz furgonu bagażowego, służył im do dalekich podróży np. do

Paryża. Trasę Łańcut – Paryż pokonywano w ciągu 17 dni. Była to w połowie XIX wieku najszybsza podróż po Europie. Można dodać, że również najwygodniejsza, ale i najdroższa. Komfortowe wyposażenie karety w lustra, składane stoliczki, oświetlenie wewnętrzne, materace z safianu, schowki, żaluzje, firanki, kieszenie i poręcze dawało gwarancję wygody podczas długiej drogi. Najliczniejszą wszakże grupę stanowią wiedeńskie powozy i karety z późniejszej epoki, *fin de siècle'u*. Wszystkie resorowane, niektóre o kołach z gumowymi bandażami, co było nie tylko dowodem luksusu, lecz także nowoczesności. Przypominają bujne czasy karnawału, wieczorne wyjazdy do teatru, opery, na koncerty, bale, rauty i *assemblées*. Wśród powozów zwraca uwagę *calèche á la Daumont* z paryskiej fabryki Mühlbachera. Zadziwia ona elegancją kształtu i lekkością. Ten typ powozu uważano w XIX wieku za najwytworniejszy. Dlatego spełniał rolę reprezentacyjną. Do Łańcuta został sprowadzony koleją w 1923 roku, jako część spadku po Mikołaju Potockim, zamieszkałym stale we Francji. Po kilkakrotnym eksponowaniu go na wystawach lokomocji światowej w Paryżu, miał odegrać w Łańcucie najważniejszą rolę podczas oficjalnej wizyty księstwa Kentu w Polsce w 1937 roku. Pełen wytworności zaprzęg złożony z czwórki pięknych *hackney'ów*, powożonych z siodeł, stroje służby, paryska uprzęż i niezwykłość scenerii do dzisiaj pozostały w pamięci najstarszych mieszkańców Łańcuta.



Omnibus sześćoosobowy, z bagażnikiem na dachu, Schustala, Wiedeń, ok. 1900 r., fot. Jerzy Jawczak.

Porzucając klimat podróży, reprezentacji i karnawałowych „obowiązków”, przenieśmy się do powozowni „żółtej” w atmosferę polowań, spacerów i wiejskiej sielanki. A więc towarzyskie pikniki na polanach pachnących lasów, grzybobrania pełne przygód i posmaku hazardu, kosze rydźów, dzbanki malin, zapach poziomek i czarnych jagód.

Na te małe wypadki jeżdżono dużym brekiem, bryczką, szarabanem lub *wagonette*. Na poranne przejażdżki bardziej odpowiednie były *kariolki*, *charette’ki*, *parkwageny*, *gigi* i *damskie duc’i*. Prezentowano kunszt powożenia prowadząc parę, trójkę czy czwórkę koni. Zmieniano style zaprzęgów, by pokazać

wysokie umiejętności panowania nad ognistymi rumakami.

Najwięcej emocji dostarczały jednak polskie polowania, które rozpoczynano wczesną jesienią, a kończono z pierwszymi chłodami zimy. Myśliwych i towarzyszące im odważne damy wieziono do lasu ogromnymi linijkami o podwójnych ławach *dos-a-dos*, przy których umocowane fuzje i torby na naboje dodawały szczególnego „uzbrojonego” wyglądu. W gruncie rzeczy te wielkie i ciężkie, wieloosobowe pojazdy z fabryki Schustala-Nesselsdorf w Czechach odznaczały się szczególną elegancją. Pozorne resory stojące stwarzały wrażenie luksusu swoją archaizowaną konstrukcją. Skórzane błotniki, tapicerowane materace kryte modnym wówczas „manchesterem” w kolorze piaskowym dawały wygodę jazdy. Specjalny daszek brezentowy osłaniał panie przed nadmiarem słońca. Lubiły towarzyszyć męskim rozrywkom, podziwiać odwagę i refleks, ale również zażywać własnych emocji. Najmilszą perspektywę zapewniał powrót z polowania, gdy w ciepłe kominka i zaciszu myśliwskiego pałacyku w Julinie rozprawiano o męstwie, ryzyku, pełnych grozy i napięcia scenach przeżytych w kniei.



Neser podróżny w stylu biedermeier, Austria, XIX w, fot. Mariusz Wideryński.

Na wsi również balowano podczas „zielonego” karnawału. Te wieczory dostarczały najwięcej dreszczy spodziewanych konkiet serc w blasku księżyca i przy śpiewie słowików. Zjeżdżano się na wieczorki letnimi powozami, takimi jak: *vis-a-vis*, *sociable*, *mylord*, a w dni chłodniejsze kazano zaprzęgać konie do zamkniętych landoletów ogrzanych „szofretką”. W kameralnym, ciepłym wnętrzu karety dwoje przytulonych snuło balowe marzenia. Kołysały lekko resory na wyboistych, wiejskich drogach,

turkotały żelazne obręcze kół.

W niedzielne popołudnie chętnie wyprawiano się na partyjkę wista lub z wizytą. Porą dżdżystą i wietrzną dobrze było podróżować cabem francuskim. Wnętrze wprowadzie dość ciasne i powietrza w nim zbyt mało, ale od wiatru skutecznie chroniły składane szyby i kłapa drewniana, podbita suknem. Podróżnych wszakże czekała mała niewygoda, bez pomocy służby nie wysiedli. Sygnałem porozumiewawczym ze stangretem byty pętla na ramię, gwizdki ustne i ręczne gruszki gumowe.

Gdy na wielkanocne święta zjeżdżali goście z bagażami i liczną służbą osobistą, wysyłano na dworzec kolejowy kilka karet lub powozów i omnibus. Kufry, walizy, nesesery podróżne ładowano na dach omnibusu, służba siadała do przestronnego wnętrza, a goście sadowili się w karetach. Przed pałac podjeżdżał sznur pojazdów, witano miłych przyjaciół i wśród gwaru, nawoływań, wykrzykników, powitań proszono do uprzednio przygotowanych pokoi gościnnych. Mieściły się one na drugim piętrze. Każdy otrzymywał swój apartament składający się z kilku pomieszczeń: salonu, sypialni, pokoju dla służby i łazienki. Właśnie zamek przeszedł modernizację, w czasie której zmieniono system ogrzewania z piecowego na wdmuchowe oraz założono trzydzieści sześć luksusowych pokoi kąpielowych z nowoczesnym systemem wodno-kanalizacyjnym. Ci goście nie musieli już przyjeżdżać z własnymi gumowymi wannami, jak to bywało

wcześniej, za czasów państwa namiestnikostwa. Poza obowiązującymi wspólnymi porami posiłków i zgromadzeniami na wieczorne salonowe rozmowy, koncerty i inne wspólne rozrywki, panowała duża dowolność zajęć. Dla miłośników książek i czasopism zagranicznych, wszelkich aktualności dostarczała biblioteka zamkowa, do dziś jedyna zachowana, prawie kompletna, wraz z urządzeniami, dawnymi meblami, rzadkim i wspaniałym księgozbiorem.



Kareta galowa berlina, Marker i Karasch, Wiedeń, I poł. XIX w.
Na stopniach przy koźle data „1830” i monogram „H.W.”, fot.
Jerzy Jawczak.



Powóz jesionowy typu „milord” , Polska XX wiek, fot. Jerzy Jawczak.

Zwolennicy sportów konnych mieli własne królestwo i prawdziwy raj. Do ich dyspozycji były piękne, wypielęgnowane wierzchowce ze stajni hrabiego, którymi codziennie przejeżdżano się cienistymi alejami do konnej jazdy. W dni chłodne i deszczowe gromadzono się w ujeżdżalni zimowej zażywając tam sportu konnego lub przyglądając się ujarzmianiu (końskiej) młodzieży. W wielkiej szorowni stajni cugowych, która *de facto* była salonem, rozprawiano później żywo o przygodach i wydarzeniach sportowego poranka. Kto nie jeździł wierzchem, mógł kazać zaprząć konia lub konie do pojazdu spacerowego, do bryczki lub gigu i zażywać spaceru samemu lub w towarzystwie, ze służbą lub samodzielnie dobierając pojazd odpowiedni do sytuacji. W każdej chwili zarówno pojazd, jak i konie, uprząż i służba była gotowa i stosownie ubrana. Paradne liberie przechowywano w pokojach służbowych mieszczących się przy powozowni. Tam każdy masztalerz miał swoje łóżko z czystą pościelą i angielskimi, wełnianymi kocami, toaletkę z umywalką i szafę z

liberią. Służba odpoczywała codziennie od godziny 11-tej do 14-tej, po zaobroczeniu koni. Po południu masztalerze i chłopcy stajenni zajmowali się czyszczeniem i porządkowaniem użytego sprzętu, pojazdów i uprzęży. Czas pracy trwał od 5-tej do 18-tej z trzygodzinną przerwą na posiłek i odpoczynek. Organizacja była doskonała, a stajnie i powozownia słynęły z porządku i czystości. Trzeba dodać, że o konie wierzchowe szczególnie dbano. Pielęgnacja ich była trudna, ponieważ każdy koń był strzyżony (wierzchowe inaczej, zaprzęgowe inaczej), kąpany, czyszczony do lśnienia i przykrywany deką letnią lub zimową, paradną lub codzienną. Uździenice, trzęzle i uprząż także wymagały starania. Części skórzane nacierano natłuszczającymi, delikatnymi pastami sprowadzanymi z Anglii. Okucia metalowe czyszczono specjalnymi środkami w zależności od rodzaju metalu. W efekcie wszystko błyszczało i lśniło. Nic dziwnego, bowiem należało do obyczaju właścicieli zamku, że zwiedzanie stajni cugowych i powozowni przez przyjezdnych uważano za jedną z atrakcji rezydencji łańcuckiej.



Powóz sześćoosobowy zwany „Kongres Wiedeński”, Emberg i Glass, Wiedeń ok. 1800 r., data na stopniu 1833, i monogram „J.K.”. fot. Jerzy Jawczak.

Podziwiano stojące tam nieużywane już „wozy starożytne”, do których należał wspaniały „Kongres Wiedeński”, pamiętający czasy wesołego i tańczącego zjazdu monarchów Europy i ich dworów. Opowiadano konfidentnie słynne afery i romanse z czasów prababki, księżnej marszałkowej Lubomirskiej. Nikt nie śmiałby jednak popełnić niedyskrecji w stosunku do tej słynnej i niezwyklej postaci, małej ciałem, lecz wielkiej rozumem. Duch księżny Izabeli, biało-błękitnej damy, po dziś dzień jeszcze unosi się w atmosferze komnat i w powozowni, gdy zdaje się, iż przed chwilą wysiadła ze swojej muszelkowatej kariolki, którą jeździła dookoła fosy zamkowej.

Miała też i czym się pochwalić Elżbieta z Radziwiłłów Potocka, druga żona Romana, ojca ostatniego ordynata na Łańcucie. Oboje z mężem przecież uczynili tę rezydencję wielką i bogatą. Prowadzili prawdziwy europejski dwór pełen służby i gości. Kwitło w Łańcucie życie kulturalne ze wszystkimi jego urokami Belle Époque. Chyba najbardziej o tym świadczą owe wiedeńskie i paryskie powozy, karety, breki, szarabany zakupione przez tę gospodarną parę. Jest ich stosunkowo najwięcej. Romana Potockiego uznać powinniśmy za kolekcjonera pojazdów, bowiem zamawiał on nie tylko popularne typy pojazdów i karet, lecz także inspirował powstanie egzemplarzy unikalnych, takich jak powóz z odwróconym siedzeniem, *mylord* na ośmiu resorach, które sprezentował swej żonie.

W Polsce ordynat zamawiał sanie, bo gdzież je lepiej mogli wykonać niż w kraju, gdzie zimy z reguły bywają śnieżne. Sanie wyjazdowe, zwykle dwuosobowe z kozłem, posiadały wysoko wygięte śnieżniki i charakterystyczne odboje. Gruba baranica podszyta futrem niedźwiedzim lub kozuchem ogrzewała nogi najbardziej narażone na ziąb i bryłki lodu wykopywane spod kopyt koni. Długie futra, czapy i mufki zabezpieczały od mrozu. Ileż radości dostarczała szybka jazda w słoneczną pogodę, gdy śnieg skrzył się diamentowymi iskierkami, dziarsko parskwały konie albo rozgwieżdżoną nocą przy blasku pochodni i dalekonośnym dźwięku janczarów.

Dzisiaj podziwiamy te eksponaty muzealne na kołach i płozach, czarne i żółte z jesionowego drewna, kolorowe w zestawie ciemnego brązu, mahoniu i jasnych części konstrukcji. Wypieszczone rękoma znakomitych majstrów, zmontowane w fabrykach Wiednia, Londynu i Paryża, świadczą dziś wymownie o minionych bezpowrotnie czasach, gdy w życiu mieszkańców łańcuckiego pałacu sytość, mnogość i najwyższa jakość szły w parze z niczym nie zakłóconym spokojem dnia codziennego.

Magiczna wigilijna noc



Joanna Sokołowska-Gwizdka

Każdy z nas nosi w sobie taką Wigilię, o której nie zapomni do końca życia. Każdy z nas pamięta zapach choinki, aromat zupy grzybowej, wyjątkowy smak karpia, te cudowne kolędy, które zawsze wzruszają, kolory bombek, lampek, skrzypiący śnieg pod nogami, ośnieżone dachy domów za oknem, wypatrywanie pierwszej gwiazdki, emocje prezentów, a przede wszystkim miłość najbliższych, którą sobie w tym dniu wyjątkowo uświadamiamy. Ten magiczny wieczór nadaje sens wszystkiemu co robimy, wszystko od niego jakby zaczyna się od nowa. Warto poświęcić czas i pracę, aby każda Wigilia była wyjątkowa, obojętnie pod jaką szerokością geograficzną się znajdujemy, bo

Święta Bożego Narodzenia to jeden z najpiękniejszych okresów w roku. Tradycje świąteczne wyniesione z domu rodzinnego są wspominane przecież przez całe życie. Nigdzie na świecie nie przyjmuje się Dzieciątka tak uroczyście, rodzinnie i tradycyjnie jak w Polsce. Wigilijna polska wieczerza jest czymś wyjątkowym. Ta postna kolacja, składająca się z tradycyjnych potraw, poprzedzona łamaniem się opłatkiem i składaniem sobie życzeń, zostawianie jednego nakrycia dla tych, co w drodze, i tych co na morzu, to nigdzie, poza Polską, nie spotykane obyczaje. Czynią tak tylko Polacy i to pod każdą szerokością geograficzną.

Jakaż była zdziwiona Helena Modrzejewska, po uczestniczeniu z mężem w Wigilii u znajomej katolickiej rodziny z Kalifornii. Wydawało jej się wówczas, że taka „nasza” Wigilia jest obecna w obrządku katolickim wszędzie na świecie. W liście do matki pisała rozczarowana, że głodni wyszli z Karolciem z tej wieczerzy, bo podali wątróbki kurze, indyka i trochę sałatek. Gospodyni była zdziwiona, obyczaju postnego nie знаła i kolacja wigilijna tak zawsze wyglądała w jej rodzinie. No i o żadnym łamaniu się opłatkiem też nie słyszeli. Modrzejewska pisała dalej, że co to za dziwny obyczaj, ani życzeń, ani conceptów, tylko suche „Merry Christmas”, na co się odpowiada „Merry Christmas to you” i to wszystko.

Nie ma chyba człowieka, który by takiego wigilijnego ciepła płynącego z uczuć nie potrzebował, są tylko tacy, którzy takiego

nastroju nie znają. Te obyczaje, obrzędy i bardzo w polskiej kulturze zakorzeniona tradycja chrześcijańska, są formą wyrazu u nas taką, a nie inną. We Francji np. wieczór wigilijny spędza się na wesołej zabawie w restauracjach, lokalach i domach, podobnie, jak u nas na Sylwestra. Wieczór ten nazywa się *Reveillon* (reveiller-obudzić) i oznacza każdą ucztę o północy w przeddzień jakiegoś święta. W Polskiej Wigilii po okresie Adwentu, wyciszenia i skupienia w oczekiwaniu na przyjście Chrystusa i ograniczeniu łakomstwa, chętnie gotuje się potrawy aromatyczne, wyjątkowe, niezwykle, chociaż postne. A to niezwykle wzniosłe dzielenie się opłatkiem to konsekwencja adwentu – Wigilii i Świąt, a więc spełnieniem oczekiwania i błogosławieństwem.

Oto fragment „Not do dziennika” sprzed 100 lat Ignacego Serkowskiego, pracownika kasy ordynacji łańcuckiej hrabiego Romana Potockiego. Jest rok 1901.

Wieczera składa się, jak zwykle z tradycyjnych potraw, a więc barszcz z uszkami, szczupak po żydowsku, lin w galarecie, szczupak smażony, karp na szaro, szczupak zamiast okonia w sosie migdałowym, pierożki, soczewica, strudel, kutia, naturalne makowniki, wino itd. (...) Wieczera przeszła nam nader przyjemnie, potem przeszliśmy do podarków, które wcześniej sam porozkładałem w swoim

pokoju na łóżku. (...) Radości było wiele, potem oświeciliśmy drzewko i szopkę. Drzewko bardzo ładne, szopka ojcowska, jakby dopiero co zrobiona (z 1868 r.) prześlicznie wygląda. Z ojcowskiej kantyczki przekolędowało się za porządkiem wszystkie kolędy i to całe od początku do końca. Mój Boże, ileż to wspomnień miłych, rzewnych. Następnie przy herbacie zapaliłem ojcowskie cygaro, a trzeba wiedzieć, że od początku wrześnie do dziś nie paliłem.

W książce kucharskiej Antoniego Teslara „kuchmistrza ś.p. J.E. Namiestnika hr Andrzeja Potockiego w Krzeszowicach”, wydanej w Krakowie w 1910 roku, wymienione jest menu wigilijne u rodziny Potockich:

zupa migdałowa, *consomme* maltańska, krążki z ryby z chrzanem, szczupak – sos szafranowy, karp z sosem polskim, liny smażone – sałatka, kukurydza, *croc-en-bouche* (rodzaj zimnego deseru z lodami malinowymi, śmietanka i winogronami w karmelu, wszystko mrożone). Osobno przystawki: kanapki, kawior z plasterkami cytryny, śledzie, łamańce, kutia, mak. Ciasta: strucla zwykła, strucla drezdeńska, strucla z konfiturami, strucla z makiem, tort *marasquinowy*, tort makaronikowy, tort cacaowy.



W Polskiej tradycji wigilijnej liczba potraw powinna być nieparzysta, 13 na stołach magnackich, 11 u szlachty, 9 u mieszczaństwa. Książę Karol Radziwiłł z Nieświeża, zwany „Sierotką”, zapoczątkował zwyczaj, że wszystkie ryby liczymy jako jedno danie. Początek wieczoru wigilijnego z lat dzieciństwa opisał w „Pamiętnikach” Julian Ursyn Niemcewicz:

A na stole: Trzy zupy, migdałowa z rodzynkami, barszcz z uszkami, grzybami i śledziem, kucja dla służących, krążki z chrzanem, karp do podlewy, szczupak z szafranem, placuszki z makiem i miodem, okonie z posiekanymi jajami i oliwą itd.

Jan Stanisław Bystron w „Dziejach obyczajów w dawnej Polsce –

wiek XVI- XVIII” pisze:

Uczta wigilijna ma charakter tradycyjnej i rodzinnej uroczystości, nie dziw więc, że zachowano tu szereg odwiecznych zwyczajów, czasami dawniejszych aniżeli sama tradycja chrześcijańska, która przed wiekami nasunęła się na dawne święto pogańskie.

Czasami nie zdajemy sobie sprawy z pochodzenia pewnych obrzędów, w istocie zwykle jest tak, że różne zwyczaje i obyczaje wywodzące się z czasów pogańskich zmieniły swoje znaczenie na chrześcijańskie. To co ma związek z przyrodą, z rolą, plonami wywodzi się właśnie z obrzędów pogańskich. Tradycyjne potrawy Wigilijne, też mają agrarne źródło, gdyż spożywamy to co dają nam lasy, pola, łąki i wody, czyli zboża, owoce, mak, mód, grzyby i ryby. Najdawniejsze, wywodzące się z czasów przedchrześcijańskich zwyczaje, przechowywane są głównie wśród ludu. Pod koniec grudnia następował „powrót” Słońca. Naszym przodkom ta data była znana od wieków. Starożytni ludy Europy świętowały wtedy *Dies Solis Invicti* (Dzień Niezwyciężonego Słońca). Kalendarz chrześcijański także nie pomija tej daty, chociaż jej odpowiednik, Boże Narodzenie, do IV w. obchodzono dopiero 6 stycznia. Później, w IV wieku przeniesiono je na 25 grudnia i zostało wprowadzone do kalendarza Świąt Kościelnych. Wigilia natomiast, z jej

odrębnością i obrzędowością pojawiła się dopiero 200 lat później.





W dawnej Polsce okres świąt Bożego Narodzenia zwano również Godami. Trwały od Wigilii (24 grudnia) do Trzech Króli (6 stycznia). Gody były traktowane wyjątkowo. Łączył się z nimi dziwny dla nas obyczaj „oczyszczenia”. Miał on wymiar religijny i łączył się z przygotowaniem do przyjścia Chrystusa, a odbywał się właśnie w Wigilię. Była to po prostu zwykła kąpiel w beczce lub balii. W jednej wodzie kąpała się cała rodzina, począwszy od ojca rodziny, a na najmłodszym dziecku skończywszy. Dziwi nas teraz ten brak higieny, będący przyczyną różnych chorób, nie mniej jednak w średniowieczu i później jeszcze na początku

renesansu, ludzie wstydzieli się swojego ciała, gdyż była to siedziba zła i pokus. Ciało zakrywano więc skrzętnie, a kąpiel była w tym pojęciu czynnością grzeszną. Przepisywał ją lekarz w przypadku choroby, no i stosowano ją właśnie w okresie świątecznym, na Gody, w Wigilię. Dzień Bożego Narodzenia przypada w okresie przesilenia zimowego. W wielu dawnych kulturach wyznaczało ono początek nowego roku i nowego cyklu wegetacyjnego.

Przypuszczać należy, że w terminie tym obchodzono w czasach pogańskich dwa wielkie święta, a mianowicie agrarne, mające na celu utrzymanie wegetacji rolnej przez okres zimowy, i zaduszkowe, mające znów zadanie nawiązania kontaktu z duszami zmarłych. Wierzano bowiem, że dusze zmarłych przodków i krewnych mogą wspomóc działania ludzi i zapewnić dobre zbiory rolnikom, a pasterzom ochronić bydło i owce przed chorobami

- pisał Jan Bystron, historyk i etnograf. W bożonarodzeniowych zwyczajach i obrzędach można odnaleźć więc symbolikę kontaktu z duszami bliskich zmarłych. Było to pozostawianie wolnego miejsca przy stole. Zwyczaje i obrzędy bożonarodzeniowe były praktykowane przede wszystkim wśród ludu, ale niektóre znała również szlachta i mieszczaństwo. Tak więc, zgodnie z tradycją ludową, Wigilia kończyła stary i

jednocześnie rozpoczynała nowy rok. Wierzano powszechnie, że ów dzień i noc są porą cudów, powrotem do czasów rajskej szczęśliwości i obfitości. Najważniejsza tego dnia jest wieczerza, do której dawniej zasiadano wraz z ukazaniem się na niebie pierwszej gwiazdy. Działo się tak na pamiątkę Gwiazdy Betlejemskiej prowadzącej pasterzy do Betlejem. Wierzano, że w noc wigilijną woda w studniach na krótko zamienia się w miód albo wino, a w rzekach płynie srebro lub złoto. Jednak, jak głosiły różne podania i legendy opowiadane w długie zimowe wieczory, doświadczyć tego mogli tylko ludzie niewinni, szczęśliwi i odważni. Wierzano także, że tej nocy zwierzęta przemawiają ludzkim głosem. W niektórych regionach Polski nadal żywy jest zwyczaj obdzielania zwierząt resztkami jedzenia z kolacji wigilijnej i kolorowymi opłatkami (czerwonymi, żółtymi albo zielonymi). Bardzo często zapiekano w nich święcone zioła, aby chroniły bydło przed chorobami. Niezwykłość nadchodzącego czasu była również podkreślana przystrojeniem domu. Najczęściej – zarówno w chałupach chłopskich, jak i dworach szlacheckich czy magnackich pałacach używano w tym celu słomy, siana czy snopów zboża. Jeszcze w połowie lat 80-tych na zamojszczyźnie

izbę wyścielano świeżą słomą. Miało to przypominać stajenkę. Pod pięknie wybielony lniany obrus kładziono sianko cienką warstwą i czerwone opłatki przeznaczone dla

chudoby. W kącie stawiano snop żyta. Miał on tak stać do Nowego Roku, przyglądać się wszelkiemu dobrobytowi, wziąć go sobie do serca i wydać jeszcze obfitszy plon swoim gospodarzom, żeby przyszłe święta były jeszcze bogatsze.

Ze słomy wyciągniętej z bożonarodzeniowych snopków kręcono powrósła. Po wieczerzy wigilijnej gospodarze wychodzili do sadu i obwiązywali nimi drzewa owocowe, by nie marzły i lepiej rodziły. Z tych samych snopków robiono mniejsze wiązki i wtykano je w ziemię między zasiane oziminy, aby zboże lepiej rosło. W świątecznie przystrojonym wnętrzu domu nie mogło zabraknąć zimozielonych gałęzi uważanych za symbol życia, zdrowia, dobrobytu. Domy były ozdabiane gałęziami świerku, sosny lub jodły, przybijanymi do płotów, furtek, drzwi domów, wrót obór i stodół. W południowej i południowo-zachodniej Polsce przyjęła się charakterystyczna dla tych regionów forma bożonarodzeniowej dekoracji z gałęzi drzew iglastych. Była to najpiękniejsza, wybrana spośród kilku ściętych wczesnym wigilijnym rankiem, rozwidlona gałąź. Gospodyni i dorosłe córki ozdabiały ją jabłkami, orzechami, ciastkami, krążkami z opłatka, a gospodarz zawieszał go nad wigilijnym stołem.



Chojnka, bez której nie wyobrażamy sobie świąt Bożego Narodzenia, przywędrowała do Polski z Niemiec na przełomie XVIII i XIX wieku. W pierwszej połowie XIX wieku ustawiano ją w domach mieszczan pochodzenia niemieckiego (głównie wśród ewangelików), potem przyjęła się również wśród polskiego mieszczaństwa i inteligencji. „Pod strzechy” dotarła dopiero w okresie międzywojennym. Na początku ozdabiano ją podobnie jak gałąź wieszaną nad stołem. Z czasem wzbogacono choinkową dekorację o własnoręcznie wykonywane łańcuchy z kolorowego papieru, dekorowane w różny sposób wydmuszki jaj czy współcześnie kupowane w sklepach bombki, „anielskie włosy” oraz elektryczne lampki. Zanim pojawiły się kolorowe, elektryczne lampki, to choinkę przyozdabiały m.in. kolorowe, małe świece, które umieszczano w specjalnych, jak mawiano

w niektórych regionach „żabkach choinkowych”. Wykonywało się je w domu, lub w szkole, wykorzystując np. stare puszki, w których kiedyś było kakao. Ten metal nadawał się, gdyż był łatwy do obróbki, z uwagi na jego elastyczność. Dużo było radości przy wykonywaniu takich ozdób choinkowych. Dzisiaj najchętniej sięgamy po gotowe łańcuchy, bombki, pajaczki. Pewnie to już nie jest to samo. Jak mówią starsi, tym ozdobom brakuje „duszy”, tego czegoś, niepowtarzalnego.

Bożonarodzeniową dekoracją znaną tylko w Polsce były ozdoby z opłatka. Mogły być białe albo kolorowe, płaskie wycinanki z opłatka lub trójwymiarowe kompozycje z elementów sklejanых śliną. Wieszano je u sufitu, ozdabiano gałęzie, albo dekorowano nimi choinki. Wszystkie świąteczne ozdoby nie były tylko dekoracją. Przede wszystkim miały chronić gospodarzy przed chorobami i nieszczęściami, zapewnić dostatek i harmonię, a także pomóc w przepowiadaniu nadchodzących wydarzeń. Taką rolę też spełniały źdźbła siana wyciągane podczas wieczerzy spod obrusa. Źdźbła zielone dla panien i kawalerów oznaczały ślub już w zbliżające się zapusty, łamiące się i poczerniałe staropanieństwo i starokawalerstwo. Pozostali biesiadnicy wróżyli sobie z ich wyglądu i długości o własnym zdrowiu i życiu. Wiele zwykłych czynności gospodarskich w Wigilię nabierało sensu magicznego. Wszelkie prace należało zakończyć do chwili pojawienia się pierwszej gwiazdy na niebie. Gospodarze szykowali więcej paszy dla zwierząt, rąbali na zapas drewno na

opał. Kobiety kończyły przyrządzanie potraw wigilijnych i na pozostałe dni świąt, ponieważ obowiązywał wtedy zakaz gotowania. Codzienne zajęcia nie mogły być wykonywane w nadchodzący niecodzienny czas święta. Niecierpliwie czekano pierwszej gwiazdy; gdy ta zajaśniała, zbierali się goście i dzieci, rodzice wychodzili z opłatkiem na talerzu, a każdy z obecnych, biorąc opłatek, obchodził wszystkich zebranych, nawet służących, i łamiąc go, powtarzał słowa: bodajbyśmy na przyszły rok łamali go ze sobą. Opłatek – praśny, chlebowy placuszek, wypiekali „ludzie kościołni”.





Nie w całej Polsce tak samo wyglądała kolacja wigilijna. Dla różnych regionów kraju charakterystyczne były różne i określone potrawy, a to co wszędzie było wspólne to powszechny zwyczaj, aby przed rozpoczęciem wieczerzy podzielić się ze wszystkimi opłatkiem, składając przy tym życzenia zdrowia i pomyślności. Zwyczaj ten przyjął się najpierw na dworach szlacheckich, a potem wśród reszty polskiego społeczeństwa. Powoli zwyczaj opłatkowy upowszechnił się wśród mieszkańców wsi, gdzie dzielono się opłatkiem również ze zwierzętami. Wierzono, że zwierzęta w tę jedyną noc, mówią ludzkim głosem, lecz biada człowiekowi, który ich rozmowy usłyszy. Przełamanie się

opłatkiem-chlebem to gest przyjaźni i dobrych intencji. To wstęp do wieczerzy. Do wigilijnego stołu zasiadać mogli tylko ludzie przyjaźnie do siebie nastawieni. Należało więc zawczasu pogodzić się z największym wrogiem, z najbardziej niemiłym krewniakiem, zwaśnionym sąsiadem, jeśli los nas z nim zetknął na czas Wigilii. Po skończonej wieczerzy można było porozmawiać, posłuchać dziwnych, strasznych i cudownych opowieści, wróżyć o urodzaju, pogodzie w nadchodzącym roku, zdrowiu i życiu czy małżeństwie, śpiewać pastorałki i kolędy. Następnie wręczano dzieciom prezenty gwiazdkowe. Jest to stosunkowo nowy zwyczaj, praktykowany od połowy XIX wieku, głównie wśród zamożnego mieszczaństwa, ale także wśród szlachty. Natomiast na wsi prezentami obdarowywano się tylko w najbogatszych rodzinach i były to najczęściej owoce, ciasteczka albo inne „słodkości”. Od XIX w. prezenty składano pod choinką. Wcześniej – pozostawiano w izbach czy komnatach. Potem wyruszano na pasterkę. W domu zostawali tylko niedołężni starcy i małe dzieci. Każdy gospodarz starał się dotrzeć do kościoła jak najszybciej. Ci, którzy weszli pierwsi na nabożeństwo, mogli spodziewać się dobrych plonów i powodzenia we wszystkich pracach gospodarskich. Ludzie szli więc na Pasterkę pośród śniegu i nocy, budząc przy wyjściu drzewa w sadzie. Uderzano je kijem i rozbudzano krzykiem. Budzono także ule w obejściu. Wierzono, że tej nocy trzeba przyrodzie przypomnieć o życiu, trzeba ją zbudzić do życia.

Wesołych Świąt!

<https://www.youtube.com/watch?v=ECGad0KFIdk>

Źródła: Teresa Fabijańska-Żurawska, Świąteczne wspomnienia, „Gazeta Łańcucka”, grudzień 1997, nr 12/51. Renata Hryń-Kuśmerek, Świąteczna powieść, „Wiedza i życie”, 12/1998.

Boże Narodzenie
w Łodzi
i w Wilmington

w stanie Delaware



Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Część 1. Łódź.

Święta kościelne wyznaczały nasze życie. Na kilka tygodni wcześniej robiono porządki. Myto okna, zawieszano świeże, wykrochmalone firanki, białym papierem wykładano wszystkie

półki w kredensie i szafach. W ostatni dzień pastowało się podłogi. Ten zapach kojarzy mi się dotąd z uroczystościami, ze świętami. Chyba najmiłsze były święta Bożego Narodzenia. Ogród zazwyczaj tonął w śniegu. Kilka tygodni wcześniej pod dyрекcją Mamy z białych papierowych pasków robiliśmy gwiazdki na choinkę. Każdego roku dokupowaliśmy nowe bombki. Tatuś kilka dni przed świętami przynosił dużą choinkę, którą trzymał w komórce, wstawiając do wiadra z wodą. Ubieraliśmy ją w dzień przed Wigilią. Stała w pokoju, w którym spałam, zwanym przez nas pokojem stołowym. Pachniała tak intensywnie, że odurzona zapachem nie mogłam się rano obudzić.

Przed Bożym Narodzeniem przy pomocy Mamy, a potem sama, długi czas pisywałam listy do świętego Mikołaja. Prosiłam o zabawki i zawsze o małego niedźwiadka, o którym marzyłam całe wczesne dzieciństwo. List kładłam do skrzynki i zawsze następnego dnia znikał. Mama mówiła, że święty Mikołaj zabierał go nocą. Kilka tygodni przed świętami Rodzice kupowali mięso wieprzowe, szynkę, baleron i potem peklowali, trzymając w saetrze, soli i ziołach. Tatuś obwiązywał mięso równo sznurkiem i wędził. W ogrodzie ustawiał specjalną beczkę do wędzenia, wcześniej „dla zapachu” znosił z lasu gałęzie z jałowca. Uwędzone szynki i balerony wieszał w przylegającej do domu komórce. Wędliny zatem mieliśmy od Bożego Narodzenia do Wielkanocy. Na święta wielkanocne czynności wędzenia powtarzały się i powstawał kolejny zapas na kolejne tygodnie.

Latem były głównie jaja, owoce i warzywa.

W przeddzień Wigilii Tatuś przynosił żywe karpie i zamrożonego sandacza. Karpie skupiały nas nad wanienką, w której pływały. W nocy jedne zasypiały, inne Mama musiała następnego dnia sama zabić. Były to dramaty dla nas niemałe i odwiecznie związane ze świętami. Same przygotowania do wieczerzy wigilijnej trwały wiele godzin. Wszystkie czynności i zwyczaje były symboliczne i tradycyjne, miały niemal sakralny charakter. Już od wczesnych godzin rannych obowiązywały surowe reguły. Mama mówiła, że „Jaka Wigilia, taki cały rok”. Wstawaliśmy rano, bo to zapowiadało, że cały rok będzie się z ochotą i rażnie wstawalo do pracy i szkoły. Należało tego dnia wyeliminować to, co mogłoby zwiastować niepomyślny rok, a więc wszystkie prace trzeba było wykonywać ze starannością. Od rana niecierpliwie patrzyłam na Mamę przygotowującą kolację. Cały dzień zachowywaliśmy post i Mama przestrzegała nas, by się nie najeść do syta przed Wigilią, powinniśmy bowiem do niej zasiąść lekko podglodzeni. Po południu kazała mi patrzeć w niebo w poszukiwaniu pierwszej gwiazdki. Miała to być gwiazda, która prowadziła Trzech Mędrców ze Wschodu do Stajenki Betlejemskiej. Tatuś wracał wcześniej do domu.



Do kolacji wkładałam najładniejszą sukienkę. Stół przykryty był białym, wykrochmalonym obrusem, na środku na talerzyku leżał opłatek, obok było sianko. Przed przystąpieniem do kolacji dzieliliśmy się opłatkiem. To właśnie on nadawał Wigilii jakiś nierzeczywisty, uniwersalny wymiar. Każdy z nas osobno podchodził do siebie i składał życzenia; trwało to dość długo. Nie zapomnę wzruszeń i wysiłku, by życzenia były osobiste i specjalne dla każdego. Potem Mama podawała pyszną zupę z suszonych grzybów, najlepiej z prawdziwków, z łazankami, kluseczkami pokrajanymi w „krawaciki”. Kolejno jedliśmy, po trochu kosztując wszystkiego – kaszę jaglaną, usmażone na maśle i otoczone w jajku i bułeczce suszone grzyby z zupy, ryby pod różnymi postaciami: smażone karpie i sandacze, karp na słodko, śledzie panierowane w mące i smażone w oleju

konopnym, śledzie w oliwie, w śmietanie, rolmopsy. Była także specjalność wigilijna, tzw. makiełki (bułeczka maczana w mleku z nałożonym na wierzch farszem z bakalii, maku, rodzynek). Makiełki, jak mawiali Rodzice, dawały kolorowe sny. Na deser jedliśmy ciasta: babkę i moje ulubione makowce. Był także kompot zwany suszem, bo ugotowany z suszonych śliwek, jabłek, gruszek. Dań musiało być jedenaście lub trzynaście, zawsze nie do pary, i oczywiście wszystkie były postne.

Jak napisałam, podczas wieczerzy należało skosztować każdej z podawanych potraw, bo to świadczyło, iż głód nie będzie doskwierał w nadchodzącym roku, a obfitość różnych dań była zapowiedzią przyszłorocznych dobrodziejstw. Dopiero po wieczerzy obdarowywaliśmy się prezentami. Zawsze dostawałam książkę i zabawki. Kiedyś braciom Ojciec własnoręcznie wykonał z drewna duży samolot. Miał ruchome kółka i śmigło; po latach zaczęła schodzić z niego farba i Tatuś go czasami na nowo malował. Był tak trwały, że długo służył jeszcze małemu Tomkowi. Zapamiętałam szczególnie mebelki do domku dla lalek, które ustawiałam w rogu sypialni. Miałam kilka lalek, ale prawdziwie dużą i piękną, wymarzoną od dawna śpiącą lalę, ubraną w krakowski strój, dostałam dopiero mając trzynaście lat. Zachowałam ją do dziś. Gdy byłam w wieku szkolnym, na Gwiazdkę najczęściej dostawałam „odpowiednie do wieku” książki, długopisy i wieczne pióra.

Bawiąc się i słuchając kolęd, czekaliśmy prawie do północy i wszyscy szliśmy pieszo na Pasterkę do kaplicy sióstr salezjanek. Była bliżej niż parafialny kościół Dobrego Pasterza i można było znaleźć dla siebie miejsca siedzące. W czasie Pasterki jako pierwszą śpiewało się przepiękną kolędę, jedną z najstarszych, do której słowa w XVIII wieku napisał Franciszek Karpiński: „Bóg się rodzi”. Popularnością dorównuje jej jedynie starsza o trzy stulecia, anonimowa kolęda „Anioł pasterzom mówił” i śpiewana na nutę poloneza „W żłobie leży, któż pobieży kolędować małemu”. Koloryt polskich kolęd sprawił, że jako małej dziewczynce długo wydawało mi się, że Pan Jezus urodził się gdzieś w Polsce, w małej stajence na wsi. Pasterze zbudzeni przez aniołów i spieszący do szopy wydawali mi się polskimi parobkami. Boże Narodzenie zaś najbardziej polskim świętem, z grudniowym mrozem, kożuchami, butami i czapami. Byłam zawiedziona dowiedziawszy się, że Pan Jezus przyszedł na świat w dalekim Betlejem, najmniejszym z miast Judy.



Trzej Królowie

Kiedy jako dorosła osoba zobaczyłam to miasto, wydało mi się nadzwyczajne: zbudowane z białego i różowego kamienia, rozłożone na dwóch zboczach pokrytych winnicami, gaikami figowymi, migdałowymi, drzewami granatów i oliwek. Byłam bardzo przejęta, odwiedzając Bazylikę Narodzenia prowadzącą do Groty Narodzenia. Wzruszyłam się jednak dopiero, znajdując polskie akcenty w Palestynie, jak choćby: III i IV stację Drogi Krzyżowej w Jerozolimie, pomnik z płaskorzeźbami Matki Boskiej Częstochowskiej w Tyberiadzie na dziedzińcu kościoła św. Piotra Rybaka wzniesiony w 1945 roku przez żołnierzy 2. Korpusu, wizerunek polskiej Madonny w otoczeniu Mieszka I i Dąbrowki w sanktuarium Zwiastowania w Nazarecie.

Mała kaplica sióstr salezjanek brzmiała silnie głosami, wśród których szczególnie wyróżniał się melodyjny głos Mamy.

Wracalam senna i szybko kladlam sie do lozka, zeby pamietac, co sie snilo, bowiem wróżba byla na nadchodzący styczeń. Sny od Wilii do Trzech Króli dawaly wróżbę na cały rok. Mama także zwykla mówić, że jeżeli nie byliśmy posłuszni w dzień wigilijny, to takimi pozostaniemy cały rok. Staralam sie jak moglam, ale tez wciąż czymś sie irytowalam. Moze dlatego, że dzień niósł tyle wrażeń i emocji.

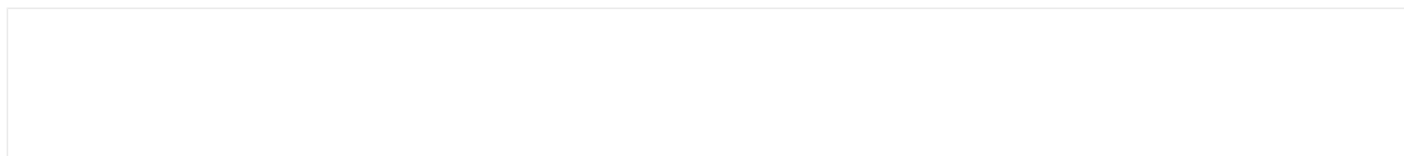
Sylwestra spędzaliśmy w domu, nie czekaliśmy północy. W Nowy Rok szliśmy do kościoła, aby otrzymać „błogosławieństwo na cały rok”. Później oczekiwaliśmy odwiedzin księdza po kolędzie, który modlił się z nami i zostawiał dla nas kolorowe obrazki. Te święte obrazki wkładałam do książeczki do nabożeństwa i mam je chyba wszystkie do dzisiaj.

Po Nowym Roku chodziliśmy na przedstawienia jasełek, które organizowano w kościele Dobrego Pasterza i bardzo starannie u ojców salezjanów na Wodnej. Postaci Matki Boskiej, świętego Józefa, Archanioła Gabriela, Heroda, Diabła wypełniały moją wyobraźnię w długie zimowe wieczory.

Lubiłam zimowe święta, bo wciąż jakby się przedłużały. Po Bożym Narodzeniu następowało święto Trzech Króli albo Objawienia Pańskiego, bo Chrystus po raz pierwszy ukazuje się wtedy światu. W kościele odbywała się procesja idąca trzy razy, bo Magowie też wracali inną drogą. W tradycji chrześcijańskiej

byli nazwani Królami, Mędrkami lub Magami. Chociaż nie wiemy dokładnie, kim byli, domyślamy się jednak, że byli uczonymi – zajmowali się zapewne astrologią i naukami tajemnymi. Gwiazda, którą ujrzeli, zgodnie z panującym przekonaniem, iż każdy człowiek posiada własną, była gwiazdą nowego władcy. Wyruszyli w daleką i niebezpieczną drogę, by oddać pokłon narodzonemu Królowi, hołd należny tylko monarchom. Gwiazda o niezwyklej jasności zaprowadziła ich do Betlejem, do pasterskiej szopy, gdzie u stóp Jezusa złożyli dary. Dary były symbolami: złoto – to atrybut władzy i panowania, kadzidło – symbol kapłaństwa, a mirra zapowiadała mękę i śmierć Chrystusa na krzyżu. Mirra to wonna żywica, której ludy Wschodu używają do balsamowania zwłok. Trzem Mędrcom nadano imiona: Kacper, Melchior i Baltazar. Po przyjściu z kościoła z mszy Mama kreśliła poświęconą kredą inicjały ich imion na zewnętrznych drzwiach oraz bieżący rok. Wiązało się to z przekonaniem, że znaki te mają chronić dom od nieszczęść.

Fragment książki „Ulica Żółwego Strumienia”, Warszawa 2004, s. 52-57.





Norman Boehm, Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Thomas Tomczyk, fot. arch. AZ-B.

Część 2. Wilmington.

Grudzień 2015 r.

Pobyt w Ameryce trochę zmienił mój Bożonarodzeniowy rytuał, głównie pod względem ilości dań. Mój mąż Amerykanin zwykle sam ubierał choinkę i salonik ozdabiał różnymi stroikami przywiezionymi z pobytów głównie w Anglii i Norwegii, mamy kilka także z Polski. Dawniej mieliśmy dużą choinkę (najchętniej

Douglas lub *Frasier Fir*, które nie gubią igieł), ale od kilku lat mamy żywą w doniczce, którą potem zasadzamy w ogrodzie. Wieczorem rozbrzmiewa muzyka kolęd z całego świata, oczywiście przywiozłam nagrania kolęd polskich. Norman czasami grał także kolędy na pianinie, ale nigdy nie nauczył się polskich. Mój syn, Tomek towarzyszy mi zawsze na święta, przylatując z najdalszych stron świata.

Wprowadziłam post w Dzień Wigilijny, choć protestanci tego zwyczaju nie mają. Pięknie przyjął się opłatek, który mi przysłała rodzina z Polski. Norman i wszyscy znajomi uważają, że to bardzo wzruszający zwyczaj. Oboje nie przepadamy za pierogami, nie przygotowuję wielu innych dań, które są tak bogato obecne na stołach w Polsce, podchodzę pod tym względem bardziej praktycznie: podaję tylko zupę i rybę. W moich stronach, w stanie Delaware, nie można kupić karpia, o którym Amerykanie mówią, że jest błotnistą, mało szlachetną rybą, więc od lat podaję łososia. Nawet gdy byliśmy w Polsce i miałam święta z rodziną po 18 latach przerwy, karp nie smakował Normanowi tak, jak np. sandacz. (mój mąż myśli, że pyszna panga jest polską rybą, nie prostowałam, że jest eksportowana z Chin). Nie podaję śledzia, który kupiony w słoiku nie bardzo nam smakuje. Mam przywiezione z Polski suszone grzyby i podaję zupę grzybową z kluseczkami, i ona zawsze wzbudza zachwyt wszystkich koneserów. Prezenty rozpakowujemy po kolacji. O północy idziemy na pasterkę.

Bardzo mi brakuje drugiego dnia świąt. Drzewa przed domem ubrane są światłami, które trzymamy kilka tygodni, nie jak wielu naszych sąsiadów, którzy zdejmują je zaraz po świętach.

Choinka pełna ozdób

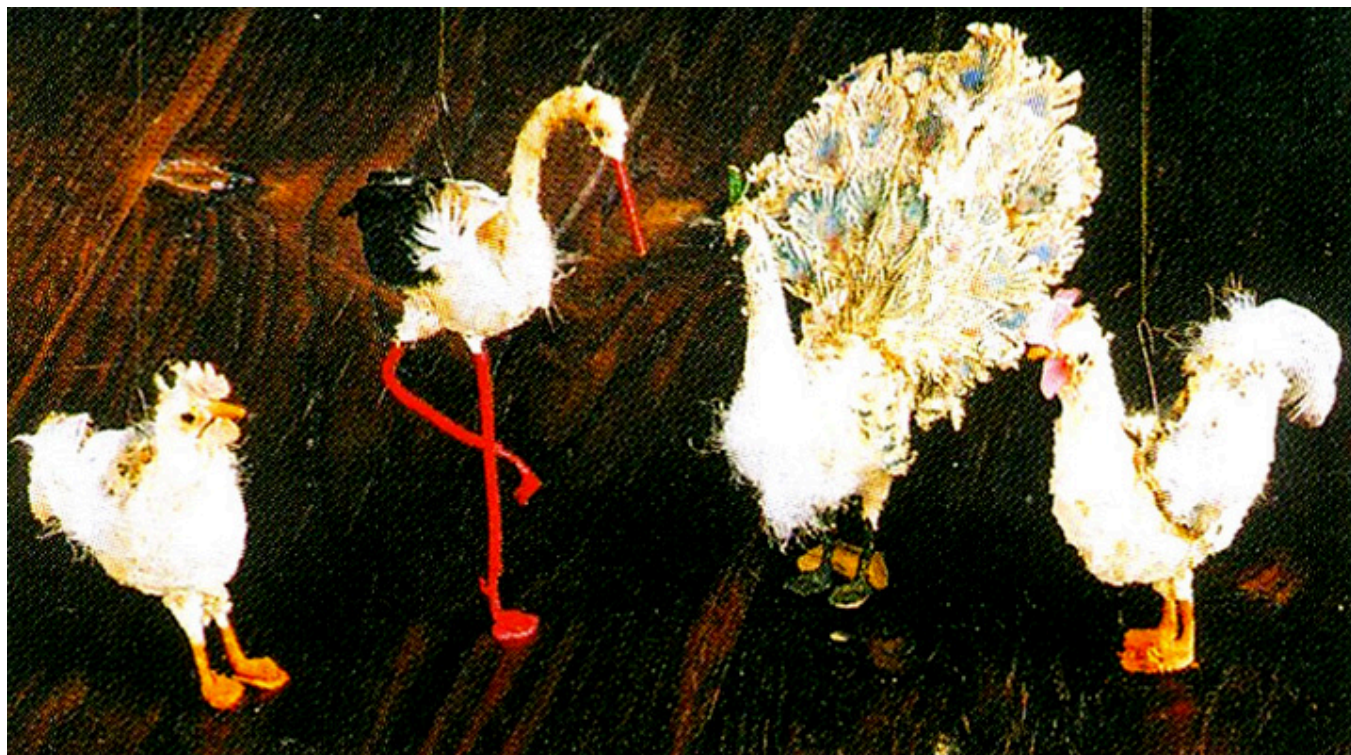


Królowna Śnieżka i krasnoludki, fot. Roman Łyko.

Marta Paterak (Łańcut)

Zacząło się to wtedy, kiedy postanowiłam, dla swoich kilkuletnich wnuków, udekorować bożonarodzeniową choinkę wszystkimi ozdobami, jakie zachowały się w mojej rodzinie. W taki sposób powstał ten rodzinny zbiór, którego najstarsze egzemplarze pochodzą z drugiej połowy XIX w.

Prezentowane rękodzieła są rzadką okazją do poznania utrwalonego w nich rzemiosła od strony warsztatowej. Ozdoby wykonywane były przez dorosłych i przez dzieci, są dowodem ich pomysłowości, wyczucia estetycznego oraz zręczności w posługiwaniu się igłą, nożyczkami czy pędzlem. Ale można w nich także spotkać odbicie modnych wówczas stylów artystycznych. Przede wszystkim jednak ozdoby są świadectwem wiary chrześcijańskiej wykonawców, którzy w miarę swoich możliwości i umiejętności, kontynuując rodzinne tradycje wigilijne w symbolicznych treściach zabawek choinkowych, starali się przez te przedmioty pogłębiać w swoich dzieciach przeżywanie misterium świąt Bożego Narodzenia.



Komplet ptaszków, fot. Roman Łyko.

Niezwykle cenny jest komplet czterech ptaszków z ligniny, pomalowanych farbami i ozdobionych prawdziwymi piórkami. Dostała go moja siostra w 1942 r. na swoje pierwsze święta Bożego Narodzenia; zabawki te wykonała stryjenka zgodnie z tradycją jej rodziny. Ukryte są w nich życzenia, aby dziewczynka wyrosła na osobę fizycznie i duchowo piękną, co symbolizuje figurka pawia, czujną i inteligentną, co uosabia kogut, opiekuńczą, miłosierną i wytrwałą, o czym świadczy figurka kury, a bocian symbolizuje dobre macierzyństwo. Chłopcy zgodnie ze zwyczajem otrzymywali choinkowe zabawki symbolizujące następujące cnoty: anioła – sprawiedliwość, lwa – męstwo, wołu – umiarkowanie, orła – roztropność.



Różyczka św. Franciszka i Chińczyk, fot. Roman Łyko.

Zachowana po mojej babuni, pochodząca z końca XIX w. różyczka św. Franciszka, wzrusza symboliką i wymową. Jest to płócienny kwiat róży z biskwitową główką Czerwonego Kapturka w środku i łodyżką bez kolców złożoną z paciorków różańca, symbolizuje miłość wobec Boga i bliźnich. Wśród ozdób jest też tekturowy Święty Mikołaj w protestanckim wizerunku pielgrzyma – watowanym kaftanie i wysokich powyżej kolan butach, z dużym worem z haftowanego płótna, w którym chowano cukierki dla dzieci. Ta figurka jest pozostałością po byłych właścicielach naszego powojennego mieszkania w Jeleniej Górze.

Duchową radość z narodzenia Zbawiciela uosabiają choinkowe aniołki wykonane różnymi sposobami z rozmaitych materiałów – od niciano-szydełkowych, po słomiane i z kukurydzianych kaczanek. W moim zbiorze do najstarszych należą te, które wieszano na szczycie choinki, pod gwiazdą, w zależności od wysokości drzewka. Jest to papierowy anioł, przedstawiony jako uskrzydłona główka, otoczona autentycznymi piórkami, z gwiazdką ze srebrnych drucików. Około 1900 r. powstała całopostaciowa grupa tańczących aniołków, wykonanych z kolorowych bibułek i haftowanego tiulu. Czynienie dobra i bezinteresowną pomoc bliźniemu utożsamiają także różne baśniowe postacie, jak: krasnoludki, Królowna Śnieżka, grający świerszcz i lato, Królowa Śniegu jako personifikacja zła. Nastrój karnawałowej zabawy wzmacniały inne figurki epoki *fin de siècle'u*, np. pajacyk, Japoneczka, dwaj Chińczycy oraz Carmen.



Lato i grający świerszcz, fot. Roman Łyko.



Królowa Śniegu, fot. Roman Łyko.

Wszystkie te choinkowe cacka są zrobione z różnych papierów i tkanin, przystrojone koronkami, haftami, cekinami i koralikami; przeciętna wysokość zabawek wynosi około 12 cm. Niektóre mają ludzkie twarze, malowane ręcznie lub przyklejone, a przed tym wycięte z ówczśnie drukowanych arkuszy. Lalki ubrane w szmaciane sukienki mają pod spodem bibułową bieliznę.

Z wielkim pietyzmem wieszana jest na naszej choince papierowa bańka-serduszko z atrybutami powstania styczniowego –

kotwicami i krzyżem, pochodząca z lat sześćdziesiątych XIX w.; jest to najstarsza zabawka z całego zbioru. Odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 r. stało się wspaniałym tematem dla choinkowych zabawek. Z tego czasu pochodzi lalka Podolanka - tekturowa pół postać w regionalnym stroju z tkaniny, przystrojona wstążkami i koralami. Świąteczne drzewko ozdobiły także płócienne rogatywki z futrzanymi otokami i prawdziwymi piórkami, konfederatka i dwie krakuski.



Krakus z 1831 r., fot.
Roman Łyko.

Nie tak dawno mój sąsiad, pochodzący z rodziny o wielkich narodowych tradycjach, wyrzucił na śmietnik husarza, ostatnią zabawkę choinkową z domu jego dziadków, a zamiast świątecznej choinki udekorował zewnętrzną fasadę swojego domu kolorowymi, pulsującymi światłkami. Uważam, że polski żołnierz zawsze łączył się z najszlachetniejszymi uczuciami Polaków. Figurki polskich żołnierzy często wieszano na choinkach, aby przypominały dawną siłę i chwałę narodu. Aby podtrzymać tradycję, wykonałam do swojej kolekcji figurkę Krakusa z autentycznych elementów pochodzących z 1831 r.

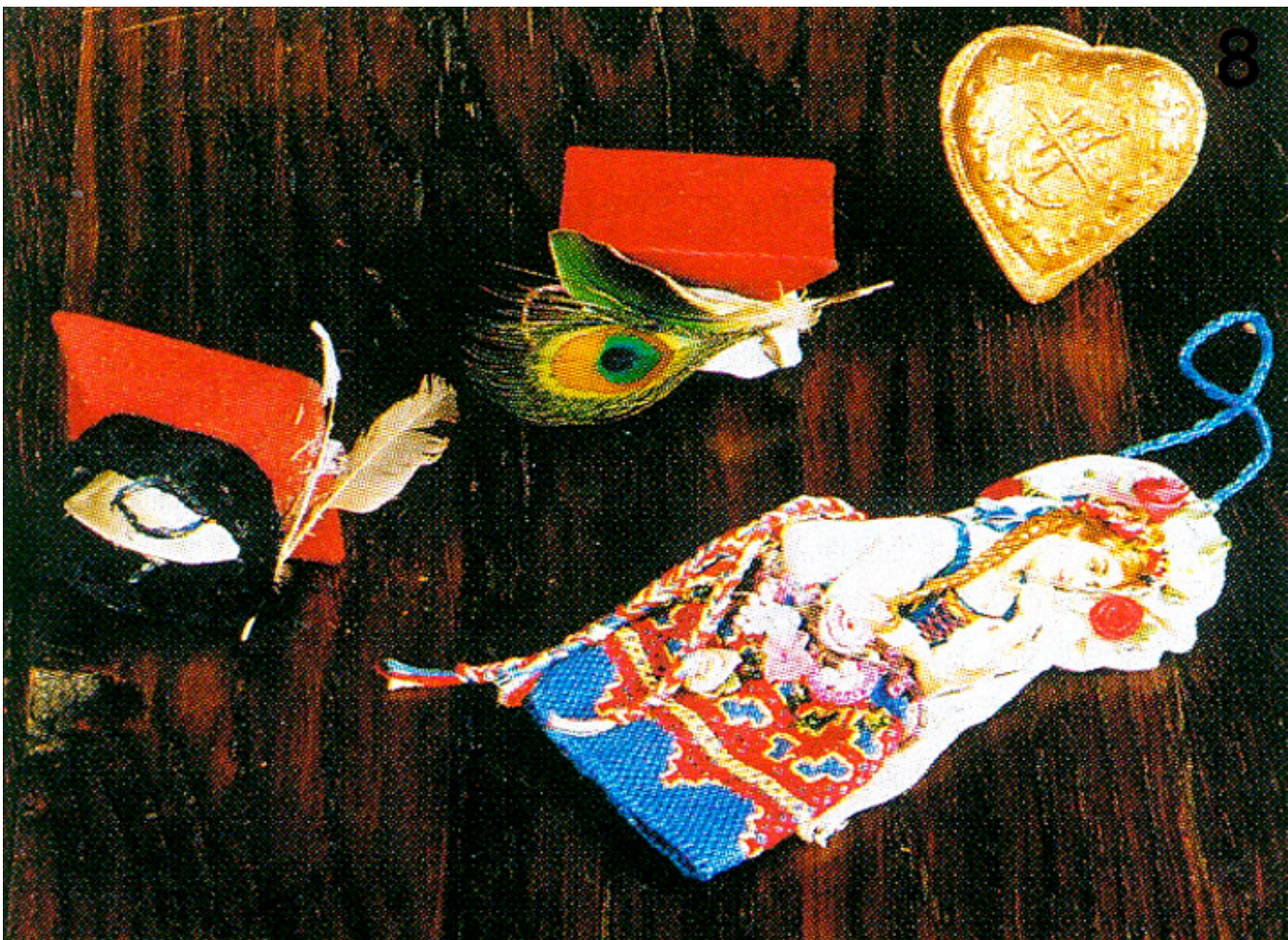
Wiele ozdób choinkowych, własnoręcznie robionych przez domowników w okresie adwentu, zaginęło bezpowrotnie na skutek różnych okoliczności, upływu czasu, przeprowadzek, warunków przechowywania i naturalnych procesów starzenia się materiałów. Stąd też powstała potrzeba szczególnej troski o gromadzenie i zabezpieczenie ostatnich zabawek oraz ozdób choinkowych w naszej rodzinie przed ich całkowitą destrukcją. Zniszczone zabawki i ozdoby starałam się ratować, przywracając im wartości artystyczne zgodnie z technologią wykonania, a tym samym przedłużając ich trwanie w dziedzictwie rodzinnym i ogólnokulturowym. Wydatnie pomagają mi w tym moi przyjaciele, konserwatorzy.



Tańczące aniołki, fot. Roman Łyko.



Tańcząca Carmen i wisiorki, fot. Roman Łyko.



Bańka z atrybutami powstania styczniowego, lalka Podolanka, czapki krakuska i konfederatka, fot. Roman Łyko.

Artykuł ukazał się w „Spotkaniach z Zabytkami”, grudzień 2002 r.

Boże Narodzenie w Nowym Jorku po wyjeździe z Polski w 1984 r.



Basha Maryńska (*Nowy Jork*)

Pamiętam jak dziś, mój przyjazd z dwuletnim wówczas synkiem do Nowego Jorku na zaproszenie Fundacji Kościuszkowskiej w 1984 roku. Mój syn ma dziś 35 lat.

W Nowym Jorku mieszkała od wielu lat moja mama, a na uniwersytecie w Bloomington, w stanie Indiana pracował od niedawna mój mąż jako *visiting professor*. Przyjechał również do Nowego Jorku na zaproszenie mamy mój świętej pamięci tata z Gdańska w odwiedziny. Mój brat również przebywał w USA jako pracownik naukowy na Uniwersytecie w Yale.

Cóż to było za wspaniałe spotkanie przy wigilijnym stole u mamy w jej mieszkaniu na Queensie!

Po wielu latach spotkanie z mamą było dla mnie wielkim szczęściem, nie mówiąc już o szczęściu mamy, która po tak długim oczekiwaniu i wielu wysiłkach miała przy sobie całą rodzinę i swojego dwuletniego wnuka!

Mój wyjazd z Polski w tym czasie nie należał do łatwych. Załatwianie wyjazdu i przygotowywanie do opuszczenia kraju na długo, a może na zawsze – trwało i pochłaniało masę czasu i energii. Wyjechałam ze straszego chaosu, w wielkiej niepewności co dalej.

Jednak wyjazd z Polski w tym czasie to oddzielna historia, którą kiedyś opiszę, a teraz skupię się na moich pierwszych wrażeniach z pobytu w Nowym Jorku.



Polska kaplica w Katedrze Świętego Patryka, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

Pojechaliśmy wszyscy do katedry Św. Patryka na piękną Bożonarodzeniową mszę i poszliśmy oglądać świetliste anioły przy Rockefeller Center. Modlitwa za ojczyznę, za naszą przyszłość i naszą wspólnotę pozostaną na zawsze w mojej pamięci. Modliłam się wówczas za tych, którzy pozostali w kraju, za ich bezpieczeństwo i za przetrwanie...

Mimo, że od tylu lat mieszkam w Nowym Jorku i z tym miastem związałam swoje życie, Polska wciąż jest mi bliska. Jako artysta malarz i kurator jestem obecna w kraju. Moja kolejna wizyta w Warszawie we wrześniu tego roku była sukcesem artystycznym. W Galerii SD Szucha 8 wystawiłam 30 swoich obrazów.

Moja praca artystyczna i kuratorska zwieńczona jest wieloma wystawami polskich artystów w Nowym Jorku, oraz ich promocją. Organizuję również sympozja i plenery na terenie całych Stanów Zjednoczonych dla międzynarodowej grupy artystów, wśród których coraz częściej na moje zaproszenie pojawiają się artyści z Polski. Dwa

razy w roku odbywają się spotkania, konferencje i plenery, które organizuję w Beacon, NY, gdzie mieszkam i pracuję w moim Bashasart Studio.

Ta wymiana artystyczna daje mi wielką satysfakcję i sprawia, że czuję się potrzebna po obu stronach oceanu.

Świąteczny Nowy Jork



Projekcja światła na fasadzie domu Saks Fifth Avenue na przeciwko Rockefeller Center.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, 2017 r.



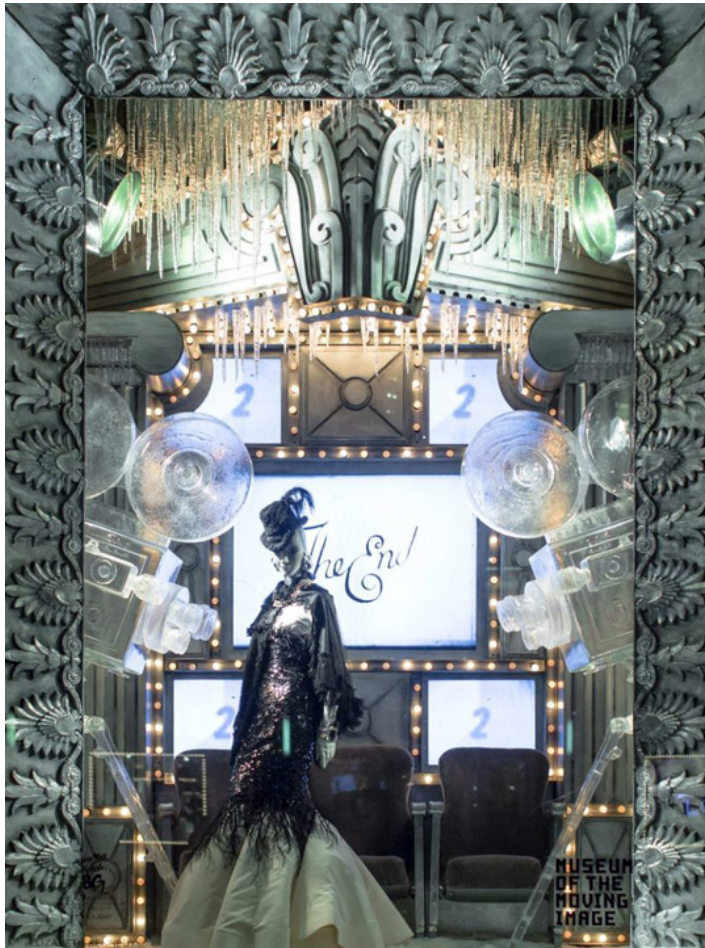
Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, 2017 r.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, 2017 r.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, 2017 r.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, 2017 r.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, grudzień 2017 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, grudzień 2017 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, grudzień 2017 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, grudzień 2017 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Nowy Jork, dom zapakowany jak prezent, grudzień 2017 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Wystawy inspirowane bajkami Disneya, Saks Fifth Avenue, 2017 r.

Boże Narodzenie w powojennym

Lublinie



Adam Fiala

Perth, Australia

Po ponurym listopadzie samo oczekiwanie było czasem magicznym. Jak z Gałczyńskiego z tym, że zamiast zaczarowanej dorożki była zaczarowana podłoga. Oczywiście w okresie Świąt, bo normalnie tylko się chodziło po drewnianych klepkach. Mieszkaliśmy na parterze dwupiętrowej kamieniczki, ojciec dostał przydział kwaterunkowy. Wybrał parter bo bał się bomb,

zabawne, przecież skończyła się akurat wojna. Był to bardzo zły wybór, bo zimno ciągnęło od piwnic. Utyskiwaliśmy na podłogę, ale święta ją zmieniały.

Najpierw matka wiórkowała metalowymi opiłkami drewniane klepki, potem myła, a następnie pastowała. Właśnie ten zapach pasty i zapach choinkowego igliwia stwarzał święta. Matka harowała jak niewolnica, ale z własnej woli. Uważała, że kobieta powinna zgotować dzieciom i mężowi wspaniałe święta. I tak było. Za oknem wisiał zając i kruszył się na mrozie. Czekala gęś, pluskały się karpie w wannie. Przed samą wigilią matka całą noc piekła ciasto, ucierałem jej ser do sernika oraz robiłem uszka z grzybami do wigilijnej wieczerzy, kiedy się miała zapalić pierwsza gwiazdka. Gwiazdki takiej nie widziałem, niebo było pochmurne, a zmrok wcześniej zapadał.

Ojciec po pracy na poczcie (był dyrektorem na całe województwo lubelskie) spał pod kożuchem, a gdy się obudził zacierał ręce i udzielał mądrych porad matce.

Wydawało się, że powinniśmy mieć relatywnie wysoki standard życia, czytałem, że menadżer poczty w Australii był milionerem. Mieliśmy poziom życia średni, dużo pieniędzy ojciec lokował w znaczkach pocztowych. Ale używaliśmy w okolicach świąt służbowej Simki z kierowcą Czworonogiem, tak się nazywał. Jeździliśmy do Kurowa pod Lublinem na pyszne chłopskie

kiełbasy. Same święta polegały głównie na jedzeniu. Potrafiłem zjeść pół gęsi i wtedy ojciec był wściekły. Nazywaliśmy go *pater familias* ponieważ rządził w rodzinie. W czasie wigilii pierwszy intonował kolędę Bóg się rodzi. Ale ja najbardziej lubiłem tę z takim zwrotem: „A Józef stary, a Józef stary ono pielęgnuje”. Śpiewałem wtedy zamiast stary po prostu Stalin, ku zgorszeniu matki. Matka była patriotką, winiła Armię Czerwoną za to, że czekała na Pradze aż się Powstanie w lewobrzeżnej Warszawie wykrwawiło. Ja pamiętam lepszy jeszcze numer od tego starego Józefa. Pewien ludowy rzeźbiarz dostał nagrodę za szopkę, w której zamiast starego Józefa umieścił Stalina w kremowym mundurze *generalissimusa*. Stalin wyglądał jak prawdziwy święty. Anegdotę opowiadał mi wuj Stanisław, ksiądz, bowiem nasza liczna rodzina miała także i księdza. Ale wujek Genek był od początku zagorzałym ateistą, lubił pociągać z butelki. Od świątecznego przejedzenia ratowały mnie wędrówki na nartach po polach i lasach jak się trafił śnieg, a wówczas bardzo często się trafiał i święta były białe jak *White Christmas*.

Rząd z założenia ateistyczny, przymrużał w czasie świąt oko i zamiast Dziadka Mroza, politycznie wówczas „korektnego”, był regularny święty Mikołaj. Po Trzech Królach choinka zaczynała się sypać. Jako ciekawostka, utrzymywała się w stojaku, który wykuł artystyczny kowal Kultys, ojciec matki Jadwigi. Kultys był ponoć działaczem politycznym SDKPiL lewica. Babka Bronisława знаła dobrze matkę Mariana Buczka, przedwojennego działacza

komunistycznego. Więc od małego byłem trochę lewicowy, ale zarówno matka jak i ksiądz Stanisław zciągali mnie na prawo, tak że zachowywałem równowagę.

Miałem ulubione w roku święta pasujące zresztą do siebie jak pięść do nosa. Myślę o Pierwszym Maju (zawsze w tym dniu było słońce), Bożym Narodzeniu i Wielkanocy. Babka Bronka mawiała: „Wielganoc”. Babka znała na pamięć z detalami całą rodzinę ostatniego cara. Te dwa święta, z wyjątkiem pierwszego polegały na odwiedzaniu licznych lubelskich kościołów. Raz były to szopki drugi raz groby. I tak można było też spojrzeć na święto Pierwszego Maja, które dla jednych było szopką, a dla drugich grobem. Mnie zaś bardzo smakowała kielbasa z bułką, którą można było nabyć z przystrojonej ciężarówki. Uwielbiałem też kukły: radioaktywne muchy na patykach oraz wielką figurę marszałka Tito z zakrwawionym toporem. W ogóle Pierwszy Maj kochał czerwoną farbę. Z pobliskiego KUL-u nikt nigdy nie uczestniczył w manifestacji.

Chodzenie do kościoła KUL-u, był niedaleko od ulicy Weteranów, dało mi intelektualne spojrzenie na religię, które zachowałem do dziś. KUL to był jakby matecznik Jana Pawła Drugiego. Byłem studentem, ale nie spotkałem go wtedy na wykładach. KUL dawał inne spojrzenie, można powiedzieć: pluralistyczne. Skończyłem jednak tylko prawo na UMCS. Na KUL-u zaczynałem historię sztuki oraz psychologię w ramach filozofii jak to się

pisało: chrześcijańskiej. I rzecz ważna: w okresie świątecznym dostawałem mnóstwo kwitków do „Kulowskiej” stołówki od wyjeżdżających do domów kolegów.

W religii pociągało mnie to, że Chrystus zdecydowanie nie był ascetą, lubił zjeść i wypić w bogatych domach.



Dawna pocztówka

Boże Narodzenie w Janaszowie (1939)



Janusz A. Ihnatowicz

Przyjazd

Gdy się na Boże Narodzenie przyjeżdża na wieś, powinien być lekki mróz drżący piórkami szronu w słonecznym powietrzu i

biały wiejski śnieg. I powinno się jechać od kolei sanna dzwoniącą, rozświergotaną płozami, trzaskającą jak lód na stawie, gwiazdkową sanna.

A tu stacyjka tonie w mgłach i mżawce. Pociąg czarny i zachmurzony włókł się przez opłotki przedmieść, które jesień utrapiona wciąż pokrywa liszajami pleśni i nadgniłych kapuścianych liści; przez pola, co rozłożyły się sine i nieskończone w pomroce szarugi jak zniechęczone sny. Też bez końca. I zatrzymał się postępując nos w nos z betonowym wiaduktem szosy. Dym przytłoczony deszczem opiera się na semaforze zamykającym stacyjkę na klucz. A zresztą jest zmierzch.

Przed dworcem toniemy w błocie ziemi, sieczki i końskiego nawozu. I nie ma wymarzonych sanek lekkich jak puch, nie ma nawet karety, tego pudła tajemniczych wspaniałości w ciemnym wnętrzu pachnącego skórą i pluszem. Jest tylko furman, cztery folwarczne konie i ciężki wóz.

- Roztop taki, powiada, ze niczym innym nie przejedzie.

Tak się rozwiewa sen o przyjeździe w grząskich koleinach przed-dworcowego bagna.

Wóz wypełniony jest sianem: egzotyczna wiejska woń. Owinięty

w szuby i kożuchy od słoty i wilgoci zapadasz się w elastyczną poduszkę, w szeleszczący stóg. Gdy się tak ciężko wspinamy ku wysokośćiom nasypu szosy, nasz pociąg pisnący gniewliwe raz jeszcze rzuca ku nam łopatę dymu i chowa się pod most. A my już dudnimy po asfalcie przez wieś.

Wieś jest osowiała jak i ten czarny grudniowy przed-wieczór. Odchylone od szosy chałupy plecami oparte o opłotki i sady szarych szkieleatów. Okna puste mrokiem jak studnia bez wody. Oślepla wieś spowita w ślepnący dzień. Przed kościołem szeroka przestrzeń napełniona czczością zmierzchu. Tylko dalej między płotami księżego ogrodu odzywa się żałośnie krowa, ołowiana trąba na ostateczny sąd.

A niebo też ołowiane. Wieś za nami. Skrzypią koła. Kopyt mokre miękkie pac pac, to poszumy jak darcie płótna po kałużach. Gołe tarniny wzdłuż drogi to tu to tam wyrastają w zmartwiałą sosnę. Wrony jakby spłoszone klekotem wozu, wzbijają się, czarne krzyżyki, w czerniejące niebo. I zapadasz się wielbłądzie kołysanie sianowego grzbietu.

Gdy się budzisz jest noc i las. Korzenie uderzające raz po raz trach trach. Potem zachrobotwały tory kolejowe. Światelko i psy leśniczówki i znów milczenie mokrych sosen. Patrzysz w ciemność nieba i czarniejsze powoli sunące cienie gałęzi. Niebo się chwieje od dziur leśnego traktu jak wielkie wahanie

usypiającego świata.

A potem jest dużo wrzawy w białej sieni. Senna kolacja w wielkiej jadalni, gdzie wiszą obrazy jakichś osób z wąsami i orzeł i pogoń po obu stronach drzwi do kuchni. Na stole długim jak świat, w półmroku jednej lampy o mlecznym kloszu w róże i fiołki, zsiadłe mleko i ziemniaki uwieńczone parą i kwiatami olbrzymich skwarek.

I wielkie łóżce z oceaniczną pierzyną odpływające daleko, gdy wiatr śpiewać zaczyna w kominie, a za kominem świerszcz. A gdzieś, hen, na drugim końcu tego dryfowania, czarodziejski kraj – Wigilia i podchoinkowy skarbiec radości.



Dawna pocztówka